

#1

MRU MRU

Ktoś się mnie ostatnio zapytał, jak to się wszystko zaczęło. Konkretniej, pytanie padło w takiej sytuacji: stoję sobie pośrodku placu i prowadzę jazdę. W roli głównej gniada Mru Mru i siwy Sznupek. Mru Mru się stara zrozumieć niewprawne komunikaty swojej dziesięcioletniej amazonki, natomiast Sznupek, jak to Sznupek, ma absolutnie wszystko w nosie. Dobrze zna swoją pracę oraz jeźdźców, pod którymi nie trzeba pracować. Jest doskonałym psychologiem. Zazwyczaj wystarczają mu pierwsze pomoce do ruszenia, by już wiedzieć, czy należy grzecznie pracować, czy też stać na placu i być głuchym na komendy.

Więc jazda wygląda w ten sposób, że Mru Mru grzecznie truchta dookoła placu, natomiast Sznupek stoi. Niby pośrodku ujeżdżalni, ale jednak zachowuje bezpieczną odległość ode mnie. Na wszelki wypadek, gdybym jednak postanowiła pomóc jeźdźcowi. Jeździec ma dwadzieścia lat i jest starszym bratem dziewczynki na Mru Mru. Razem już od miesiąca przychodzą na jazdy do Stajni z Końmi. (Stajnia z Końmi to nazwa naszej rodzinnej stajni. Nazwa miała być na początku dowcipem, ale się przyjęła doskonale i już taka została...).

Po piątej próbie wypchnięcia Sznurka na obwód ujeżdżalni, jeździec przejawia całkowitą rezygnację.

- Spróbuj jeszcze raz. Musisz być zdecydowany – mówię zachęcająco. Wiem, że Sznupek to dobry koń, tylko po prostu trzeba wygrać z nim bitwę osobowości.

- Hopeless – kwituje jeździec. - Absolutnie hopeless.

- Skup się i daj mu czytelne sygnały. Pamiętasz jak na ostatniej jeździe się udało? - próbuję zmotywować jeźdźcę.

- Nie, mi już chyba na dzisiaj wystarczy – marudzi dwudziestolatek. Dobrze wiem, że jakby chciał, to by normalnie Sznupek

pod nim pracował. Coś czuję, że chłopak po prostu chce ze mną postać pośrodku tego placu. I zwrócić na siebie uwagę. Przykro mi Artur, nie imponuje mi marudzenie. Twoja dziesięcioletnia siostra robi na mnie większe wrażenie.

Ale ogólnie lubię Artura. Też nie popadajmy w przesadę.

- Nie możesz zostać na środku placu. Musisz postawić na swoim. Właśnie teraz uczysz konia, że może objąć się na jeździe i się nie słuchać.

- No ja wiem.

- No to SIO mi stąd! A kysz! Won! - podnoszę żartobliwie ton. A na serio, jeździec powinien zrozumieć, że przez niego nie mogę skupić się na jego siostrze. Staram się jej jednocześnie rzucać konstruktywne wskazówki i modyfikować ćwiczenia, ale nie jest to łatwe, gdy Sznurek stoi smętnie pośrodku pod maruderem.

- Pewnie jakbyś ty wsiadła, to by natychmiast ruszył.

- Tak – odpowiadam krótko, lekko poirytowana i wracam do instruowania dziewczynki na Mru Mru.

- Hej, a jak właściwie się to wszystko u ciebie zaczęło, co? To całe jeżdżenie?

Miarka się przebrała. Nie wierzę w co słyszę. Będziemy teraz przywoływać historie swojego życia? Na jeździe grupowej?!

-U ciekaj stąd! Albo jeździsz, albo gadasz! Odprowadź konia do stajni! Nie wolno spędzać całej jazdy tylko stojąc. Albo jeździsz, albo odprowadź konia! - wybucham. Przesadził! Rozwala mi jazdę, zagaduje, psuje morale u konia. Artur robi skwaszoną minę i dzieje się cud. Sznurek rusza i krętym zygzakiem wraca na ślad ujeżdżalni. Artur naprawdę potrafi normalnie kierować tym koniem. Ale nie chciał. Chciał gadać. Nie ma u mnie posłuchu. Nie jestem zbyt charyzmatyczna. W końcu mam zaledwie dziewiętnaście lat.

Po jeździe myśli wędrują w różne strony. Zakupy trzeba zro-

bić, poinstrować stajennego z sianem, odżywkę we włosy wpakować, przegapiłam wiadomości, ciekawe co tam na Fejsie, odezwać się do kumpeli. Wieczorem przypominam sobie Artura i tę niezbyt udaną jazdę. Ciekawe jak to wszystko się zaczęło... Wraca mi do głowy jego pytanie.

„Ciekawe od czego się to całe moje jeżdżenie zaczęło? Na pewno zaczęło się od jeżdżenia, a nie od stania pośrodku placu i gadania!” - myślę zgryźliwie.

#2

JAK TO SIĘ WSZYSTKO ZACZĘŁO?

Mam dwanaście lat, siedzę w pokoju i ryczę do poduszki. Płacę, bo jest mi źle. Nie przyznam tego sama przed sobą, ale płaczę również po to, żeby rodzice wiedzieli, że jest mi źle. Niech im będzie przykro, bo mi jest przykro przez nich. A wszystko przez przeprowadzkę.

Kiedyś sobie wyobrażałam, że się przeprowadzam do innego kraju, na przykład do Stanów, do Nowego Jorku. Wyobrażałam sobie, że jestem podekscytowana, a kiedy przyjeżdżam na miejsce, wszyscy z nowej klasy są mną zainteresowani, bo jestem z innego kraju. Szybko zdobywam masę przyjaciół i staję się gwiazdą. A do tego wszyscy nauczyciele mnie podziwiają, bo jestem mądra, zdolna i mam olbrzymią wiedzę. Kiedyś nauczycielka powiedziała w naszej klasie, że amerykańscy uczniowie wypadają beznadziejnie w testach i mają wyjątkowo niski poziom nauczania, Polacy natomiast znakomity i jesteśmy znacznie mądrzejsi od kolegów zza oceanu. Ta myśl zapadła mi w pamięć, by urosnąć do wielkiej wizji mnie-gwiazdy szkoły w Nowym Jorku. Chyba każdy jako nastolatek marzył o popularności.

Wielokrotnie wyobrażałam sobie, że z Krakowa przeniosę

się na drugi koniec świata, ale nigdy sobie nie wyobrażałam, że z Krakowa przeniosę się na drugi koniec Polski. I nie, nie do Gdańska, nie, nie do Szczecina. Na litość boską, nawet nie do żadnego miasta, nie. Otóż rodzice musieli zdecydować przeprowadzkę gdzie? Na najbardziej zapyziałą wieś na Podlasiu. NA PODLASIU.

Płakałam wtedy bardzo głośno w poduszkę myśląc w kółko o tym, że nienawidzę: rodziców, ich decyzji, przeprowadzki, dziadka który zmarł i bezpośrednio przyczynił się do decyzji. Nienawidzę również faktu, że zmarł, bo w istocie kochałam mojego dziadka. A przede wszystkim nienawidzę Podlasia.

Spędziłam kiedyś okrągły miesiąc u dziadków, kiedy jeszcze żyła moja przyszywana babcia (bo prawdziwa babcia ma się dobrze i mieszka w Stanach – stąd też moje marzenia o przeprowadzce do NY). Na początku było fajnie: sad, pola, przestrzeń, kąpiel w rzeczce, wycieczki po mleko, palenie w kominku. Mniej więcej po tygodniu zaczęło być trochę mniej fajnie. Okazało się, że sklep jest daleko, nad rzekę nie pozwalają chodzić samej, nie ma żadnych przyjaciół, nie ma centrum handlowego, pies nie chce się bawić, na komputerze nie ma gier, uządlili mnie szerszeń i spędziłam z przyszywaną babcią cały dzień w szpitalu, w czereśniach są robaki. Nie był to dla mnie najcudowniejszy miesiąc. Podobało mi się robienie racuchów wieczorem i wcześniejsze zbieranie jabłek, podobało mi się łowienie ryb z tatą, gdy przyjechał mnie odwiedzić. Podobały mi się malutkie żółte kurczaczki. Podobało mi się odkrycie, że biały ser można zrobić samemu i to w dodatku poprzez nic-nie-robienie, tylko zapomnienie o włożeniu mleka do lodówki. Więc właściwie to mi się nawet podobało, ALE w tej chwili, kiedy rodzice zapowiedzieli permanentną przeprowadzkę, nie chciałam nawet myśleć o jakichkolwiek plusach tej sytuacji. Rodzice po prostu zrobili mi świństwo. W ogóle o mnie nie pomyśleli. Chyba o mnie

zapomnieli. Niech słyszą mój płacz. Niech cierpią wraz ze mną.

Dobrze, idźmy dalej z historią, jak to zaczęłam jeździć konno.

Przyjechaliśmy do naszego nowego domu. Był pełen rzeczy dziadka i ojciec był w grobowym nastroju cały czas. Do tego mimo starań rodziców, słyszałam ich rozmowy na tematy, które wywoływały we mnie szczere poczucie zagrożenia, niestabilności i sypiącego się świata. Że trzeba pasa zaciskać, bo kredyt na remont. BOOM, zawala się jeden filar bezpieczeństwa. Że nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle znajdzie się jakaś praca i że tutaj nie potrzebują osób z takim zawodem, jaki mają moi rodzice. BOOM, zawala się kolejny filar. I uwaga, moje ulubione: że dom jest strasznie zimny i nieocieplony i oby zima była ciepła, bo ocieplić teraz już nie zdążą i nie mają za co. BOOM, świat mi się wali na głowę, serio, nie sądziłam, że Trzeci Świat sięga aż do Polski.

Moja wizja zimy: siedzimy w trójkę pod starym połatanym kocem przed kominkiem, do którego wrzucamy szyszki, bo nie mamy pieniędzy na węgiel. Trzęsę się i mam skostniałe palce. Koło kominka leży zwinięty w kłębek, martwy kot. Zamarzł i osadzają się na nim kryształki lodu. Ojciec kaszle. Pewnie złapał jakąś śmiertelną średniowieczną chorobę. Mama ma podkrążone oczy i pyta się, czy nie chcemy zupy z kapusty. Cieszę się, że zjemy dziś jakikolwiek ciepły posiłek. Nie mam butów, bo je sprzedaliśmy, by kupić za coś kapustę. Naprawdę kochałam tego kotka, był moim jedynym przyjacielem. Wszystkich przyjaciół straciłam, gdy rodzice nie dali rady ze spłatą kredytu i wszyscy się od nas odwrócili. Tak naprawdę to ten dom, w którym właśnie zamarzamy z zimna, nie jest nasz, bo zabrał nam go komornik i zajmujemy go nielegalnie.

Tak mniej więcej sobie myślałam, kiedy zasypiałam w swo-

im nowym pokoju. Trochę się sama z siebie nabijałam i snułam czarne przesadzone historie, ale gdzieś w głębi serca naprawdę się bałam tych wszystkich zmian. Najbardziej bałam się tego, że rodzice wcale nie byli przekonani do swojej decyzji. Ich niepewność strasznie mi się udzielała.

Dobra, miało być o koniach.

Poszłam we wrześniu do nowej szkoły, co oczywiście było wielkim stresem. Nowe twarze wydawały mi się okropnie brzydkie. Nie wierzyłam, że znajdę nowych przyjaciół.

Minęły dwa tygodnie, a ja wciąż nie potrafiłam zdobyć się na optymizm. Siedziałam sobie na ławce przed szkołą, czekając aż przyjedzie po mnie mama i wtedy nagle mnie olśniło. Już wiem, co mi pomoże! Wiem, co mnie rozchmurzy! Już wiem, co sprawi, że pokocham życie w moim nowym domu na wsi na Podlasiu!

Szczeniaczek.

Chcę mieć szczeniaczka.

Szczeniaczek będzie malutki, ciepłutki i radosny. Będzie moim promykiem. Nazwę go Tofi. Będzie się zawsze cieszył na mój widok i oczekiwał mojego przyścia ze szkoły. Będzie bezowy i kupię mu błękitną obrożę. Albo będzie rudy i dostanie zielone szelki. Będziemy razem chodzić na spacerki i nauczę go skakać przez przeszkody. Rok później będziemy dawać pokazy psich sztuczek na wielkiej corocznej światowej wystawie psów rasowych. Spiker będzie komentować tak:

- Patrzcie, oto zaledwie trzynastoletnia Kasia i jej spektakularny Tofi! Tofi jest kundelkiem, a patrzcie, ile potrafi! Kasia sama nauczyła go tego wszystkiego, co właśnie robi Tofi!

- Brawo Tofi!

- Brawo Kasia!

Na widowni będzie Orlando Bloom, ponieważ akurat był w Europie i postanowił pójść na wielką światową coroczną wystawę psów rasowych. Podchodzi do mnie i mówi:

- Kasia, to był cudowny pokaz! Jesteś taka utalentowana.

- Dziękuję - skromnie odpowiadam i w ogóle nie reaguję na to, że stoi przede mną Orlando Bloom.

- Normalnie wszyscy świrują, gdy mnie widzą. Dziękuję, że jesteś inna - mówi On. Chwilę milczymy (jak dobrze i naturalnie milczy się z Orlando Bloomem! Tak idealnie do siebie pasujemy!). Tofi bawi się z jakimś rasowym pieskiem i wszyscy robią mu zdjęcia. Z przyjemnością kątem oka zauważam, że jakiś paparazzi fotografuje ukradkiem mnie i Orlando Blooma. Będę sławna!

- Wspaniale grałeś we Władcy Pierścieni, bardzo cię podziwiam – zagaduję po chwili.

- Dziękuję. Wiesz, tak naprawdę utożsamiam się z Legolasem. Odkąd zagrałem we Władcy, często jeżdżę konno, strzelam z łuku i wyjeżdżamy z Aragornem i Gimlim pochodzić sobie po górach. Może byś kiedyś chciała z nami pojechać? Porwieśmy cię na prawdziwą przygodę!

- Och...

No ale wiecie, jednak Orlando jest STARY, więc przedstawia mnie swojemu kuzynowi. Kuzyn jest początkującym aktorem, ale to wschodząca gwiazda. Wszystkie gazety dla nastolatków piszą o nim i o mnie też. Nazywają mnie jego Tajemniczą Dziewczyną, a czasem też Zaklinaczką Wilków. Kuzyn Orlando ma bardzo dużo pieniędzy. Pieniądze nie mają dla mnie żadnego znaczenia i wielokrotnie powtarzam swojemu Ukochanemu, że:

- Wcale nie potrzebuję tego wielkiego ośrodka szkolenia psów! Och, dziękuję, że mi go kupiłeś, nie musiałeś...

A on mówi:

- Zawsze chciałem, byś była szczęśliwa. Kochanie... Ten klub jest dla ciebie. I zawsze mówiłaś, że chciałaś być projektantką mody dla psów. Proszę, oto twoja własna pracownia. Będziesz rysować na kartce swoje pomysły, a najbardziej utalentowane krawcowe będą szyły co tylko sobie zapragniesz. Wszyscy będą rozchwytywać twoje limitowane linie ubranek dla piesków.

I będziemy znani, szczęśliwi i bogaci (może nawet czasem przyjadę odwiedzić rodziców na Podlasiu...), a ja w głębi serca pozostanę na zawsze tą skromną dziewczyną z sąsiedztwa i właśnie za to ludzie mnie pokochają.

Mniej więcej takie idiotyzmy miałam w głowie jako dwunastolatka.

- Nie.

Nie wierzę w to co słyszę. Świat mi się wali na głowę – znowu.

- No po prostu nie. Nie zgadzamy się na psa.

Nie wierzę w to co słyszę. Po tej całej koszmarnej przeprowadzce na WIEŚ rodzice nie zgadzają się na PSA. Że niby czemu?! Wszyscy mają tu psy! Psy chodzą po ulicy! Rodzą się w każdej budzie! Każdy ma psa! Jak można się nie zgodzić na psa! Zbiera mi się na płacz i uciekam do swojego pokoju. Trzaskam drzwiami. Właśnie poprosiłam rodziców o szczeniaczka, a oni w ciągu ułamka sekundy pozbawili mnie mojego futrzastego przyjaciela. Oraz epickiego związku z szaleniem bogatym kuzynem Orlando Blooma.

Jednak koniec końców rodzice zgadzają się na psa. Stawiają jeden warunek. Dostanę pieska, jeśli najpierw przez dwa miesiące będę wolontariuszką w schronisku dla psów. Natych-

miast zauważam, że w okolicy nie ma żadnego schroniska dla psów (tak naprawdę blefuję, nie znam okolicy i nawet nie chcę jej poznawać). Słyszę w odpowiedzi, że w takim razie zostanę wolontariuszką w stajni. „Koń, pies - ważne że zwierzę do opieki”. Szczeka mi opada i do reszty tracę szacunek do moich rodziców i wiarę w to, że dażą mnie jakimkolwiek miłym uczuciem. Konie, serio? Ja chcę mieć szczeniaczka, a oni, zamiast po prostu powiedzieć: „kochanie, rozumiemy, że jest ci ciężko, oczywiście, dostaniesz szczeniaczka. Jakiego chcesz? Możemy jutro po niego pojechać. Cieszysz się, prawda? Już jutro będziesz mieć szczeniaczka!”, to mi stawiają warunki.

I to jeszcze jakie warunki! Nie, nie że będę sprzątać w domu. Nie, nie że zacznę się lepiej uczyć. Nie, nie że będę wzorową córką. Nie, nie że będę kosić trawnik i pielęgnować ogród.

Mam być wolontariuszką w stajni.

I jeszcze wymusili na mnie pisemne spisanie warunków umowy.

Psa nigdy nie dostałam. Zamysł rodziców był taki: jeśli wytrwam w wolontariacie, dostanę psa, bo wykażę się konsekwencją i odpowiedzialnością. Być może mieli też nadzieję, że po prostu mnie zniechęcą do zwierząt. Wolontariat podziątał, bo psa mi się w istocie odechciało. Rodzice wtedy jeszcze nawet nie podejrzewali, w co się wpakowali.

Tak się zaczęła moja przygoda z końmi.